

CIEŃ WUJOWSKIEJ PIECZY łopotał jak czarna flaga. Trwał nieustępliwie w falach ognia, które buzowały w kipieli kosmicznych prądów, huraganów, spirali i wirów. Z wyspy niepewnego spokoju wuj przemawiał jak monarcha do poddanych. Siwa burza włosów jak korona słoneczna podkreślała władczość i dostojęstwo.

- Wszystko robię dla twojego dobra.
- Nawet nie wiesz, co to jest dobro.
- Dobro to miłość. A ja cię kocham.
- Dlatego śledziłeś każdy mój krok?
- Tak ci się tylko wydaje, moje dziecko.
- Podśluchiwałeś mnie.
- Nie musiałem. Czytałem wszystko z twojej twarzy,

moja mała córeczko.

- Nigdy ci nie wybaczę.
- A co tu jest do wybaczenia?
- Twoja nikczemność.
- Moja miłość?

Ocknęła się z drzemki i wróciła z zamazanych bezdroży snu do wyrazistej jaskrawości krajobrazów. Korzenie jak kraby wczepione w ziemię. Wykroty jak rany szarpane po wybuchu granatu. Kule srebrnych krzewów łagodnie przychylne z daleka, z bliska zaś — co sprawdziła — złowrogie jak zwoje kolczastego drutu. Leje wyżłobione przez ulewy. Szczeliny wypełnione męką suszy. Meandry dołów z tajemnicą geologicznych warstw stężyłych od zawziętości, gotowych wchłaniać coraz to nowe ofiary.

Piękny i groźny kraj ludzi, którzy uciekają w bezkres nieprzewidywalnej wolności, mnogość niepoliczalnych wyborów.

— Nie sądziłam, że Australia jest aż tak dzika — powiedziała do mężczyzny. — Taka drapieżna i — zawahała się — jak by to określić... podniecająca...

— Dla wielu ziemia obiecana — odparł.

— Wyspa wolności dla nas, uwięzionych, choć nie siedzieliśmy za kratami — dodała.

Piotr prowadził samochód skupiony na pasie asfaltu. Marta patrzyła na krajobraz przesuający się za szybą. Jej włosy jaśniały w słońcu białą poświatą. Zwykle chowała je pod płóciennym kapeluszem, który — jeśli nie nosiła jak zwykle ciemnych okularów — rzucał cień na oczy. Miały rzadko spotykany kolor przejrziałych wiśni. Na jasnej jak u anemicznego dziecka skórze skrzyły się drobiny złota od balsamu chroniącego przed słońcem. Mleczność cery i barwa oczu sugerowały odległe — jak dziesięciokrotnie odbite echo — pokrewieństwo z typem albinoski. Ale ani karnacja skóry, ani rzęsy i brwi nie były wystarczająco białe czy też oczy wystarczająco czerwone, by uznać ją za przykry dla oczu wybryk natury. Była raczej oryginalna.

— Właściwie dlaczego wybrałaś się ze mną w tę podróż? — zapytała i założyła niesforny kosmyk za ucho.

Wciąż traktowała go jak kogoś obcego, choć od początku, gdy tylko go spotkała, miała wrażenie, że już gdzieś się widzieli. Wydarzenia ostatnich dni toczyły się jednak zbyt szybko, by miała czas się nad tym zastanawiać.

— Zawsze chciałem zobaczyć Australię.

— Nic dziwnego. Dla naszego pokolenia Australia była obietnicą wolności, kolorowym snem, który w tamtych czasach nie mógł się ziścić. Ale czy tylko dlatego?

— Nie dopraszaj się o komplementy — mruknął ziryto-

wany jej dociekliwością. — Może z kim innym rzeczywiście bym nie pojechał.

— Nie o to mi chodzi. Mam wrażenie, jakbyś wypełniał zadanie bojowe. Jak zakonspirowany komandos.

— Perfekcjoniści tak mają — zacisnął nieustępliwie wąskie wargi. — Nawet podczas urlopu obowiązuje dyscyplina planowego wypoczynku. Stosowanie najefektywniejszych metod fizycznej aktywności i umysłowego kształcenia. Nie ma miejsca na sentymentalne rozmędlanie, dryfowanie po manowcach nieznanego. Poza tym przygotowałem się do tego wyjazdu, żeby nic mnie nie zaskoczyło. Uważam, że prawie każdą sytuację da się przewidzieć, zrozumieć i uporządkować. A obcy kraj trzeba poznawać planowo. Systematycznie...

*
* *

TEGO DNIA, KIEDY zaczął się jej rachunek z przeszłością, sprzeczny sam w sobie, bo był pogonią i ucieczką zarazem, wpadła do galerii „Kredens” Julka. Złowieszcza jak gradowa chmura, ponura jak witryna satanistów.

— Chcę poznać mojego ojca — wycodziła.

— Rozmawialiśmy już o tym, że to niemożliwe — spokojnie powiedziała Marta.

— Muszę — błysnął stanowczo aparat do prostowania zębów.

Arogancja córki przepłoszyła magię, która zalegała w galerii rzeczy niezupełnie potrzebnych. Marta budowała z trudem przyjazny, pełen poetyckich wzruszeń piwniczny świat galerii, która była odtrutką na skrywane urazy, lęki i osamotnienie. Nawet sieroctwo. Tym bardziej dojmujące, że miała (można by powiedzieć) czworo rodziców. Dwie matki — siostry podobne do siebie jak bliźniaki jednojajowe, choć nimi nie były. Dobrze

zbudowane, dorodne żony oficerów. I dwu ojców — pułkowników. Jeden Wojska Polskiego, drugi milicji. Taki nadmiar pogłębia osierocenie.

— Z podwójnymi rodzicami jest się podwójnie samotnym — mawiała garbata Aniela.

W każdym razie to i parę innych zdarzeń sprawiło, że już w dzieciństwie zbierała stare przedmioty. Niekoniecznie potrzebne, a nawet bezużyteczne. Widywała je w książkach lub w domach u znajomych, którzy mniej zajadle od jej ciotki-matki walczyli z nadmiarem rzeczy. Nauczyła się także z nimi rozmawiać. Uważała, że nowe przedmioty są nieoswojone, a przez to niebezpieczne jak dzikie zwierzęta. Bała się widoku ich nieotkniętej, połyskliwej obcości i nienaturalnego zapachu świeżego tworzywa.

Kompozycja woni żywicy, kleju i politory przyprawiała ją o mdłości.

Wykrochmalona sztywność serwet i firanek rodziła przekorne pragnienie skalania ich plamami.

Widok gładkich powierzchni plastiku, szkła, metalu drażnił oczy bezdusnością chłodu. Stanowczością dyscypliny.

Czuła się za to pewnie i bezpiecznie wśród przedmiotów, które kilka pokoleń ludzi obłaskawiało, zmuszało do uległości. Zostawiało na nich rysy po paznokciach, woń potu, pieczęcie linii papilarnych, kleksy z sosów i atramentu — ślady powszedniej egzystencji. Nic jej z ich strony nie zagrażało, bo agresja — nawet gdyby w nich była — stępiała przez lata służenia ludziom i obcowania z trywialnością codzienności. Galeria była więc rodzajem ucieczki przed wrogim jej światem. Nigdy jednak nie pomyślała, że ten jej azyl także był częścią pułapki. Jednym z oczek w sieci, z której nie umiała się wyzwolić.

Sklep znajdował się w starej secesyjnej kamienicy. Zdobily

ją balkony z balustradami kapryśnie wygiętymi jak spódnice baletnic. Duże, wysokie okna — zupełnie inne niż w blokach — jakby z wyższością patrzyły na drzewka posadzone wzdłuż ulicy. W ich cieniu ziały mrokiem sutereny, zgodnie ze swą naturą posępne i niebezpieczne jak kratery wulkanów. Dochodziły z nich zwykle groźne pomruki codziennego życia, a czasem grzmoty pijackich awantur. I tam właśnie dostała pracownię plastyczną.

— Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby dostać taki lokal użytkowy — powiedział z dwuznacznym uśmiechem urzędnik, gdy wręczał jej przydział. — Duży i w samym centrum miasta.

W tamtych czasach się nie zdarzało, żeby po prostu złożyć podanie i dostać pracownię. Mieszkania z tak zwanego przydziału były częścią przywilejów ludzi zasłużonych dla socjalistycznej ojczyzny i podobnie jak talony na samochody otrzymywali je tylko wybrańcy. Tak czy owak Marta w oczach innych była faworytą ludowej władzy, skoro dostała suterenę na pracownię. I to w czasie studiów, zanim jeszcze mogła z czystym sumieniem nazwać się artystką malarką.

W piwnicy stworzyła swój pierwszy dom. Malowała obrazy, spotykała się z przyjaciółmi. Potem, gdy po Okrągłym Stole nadarzyła się okazja, pracownię wykupiła na własność i założyła w niej galerię „Kredens”. Sklep z takimi osobliwościami, dla których trudno czasem znaleźć nazwę w języku polskim i trudno się domyślić, jakie jest ich przeznaczenie. Jak srebrny stożek, który dusi płomień świecy. Mosiężna patelnia z klapą na gorący piasek. (Rozgrzewano nią w Holandii nogi, gdy trzeba było położyć się do wyżębionego łóżka). Muchołapka wyglądająca jak wywrócony grzybek szklany, zmyślnie wabiąca insekty do wody z cukrem. Srebrna sopluczk w kształcie małej trumienki. Pas cnoty dla arystokraty z Indonezji — kapturek najeżony kolcami, przytwierdzony do złotego pasa zamykanego

na kluczyk. To był rarytas w jej kolekcji, choć tylko replika (bo oryginał znajduje się w zbiorach Muzeum Mangkunegara na Jawie). Przywiozła ten przedmiot niecodziennego użytku Ewa, gdy była w Indonezji. Ponieważ namiętnie podróżowała, miała za zadanie wyszukiwać niepowседневnie przedmioty dla galerii. Z tym że do przedmiotu zwykle dodawała anegdotę. Niezwykły przedmiot musiał przecież mieć niebanalną historię. Zwłaszcza gdy był stary i służył kilku pokoleniom właścicieli. Anegdoty Marta pisała odręcznie na kartce i wsuwała w ramki. A także opowiadała je klientom. Ze zniewalającą intymnością, półgłosem, jak się mówi dziecku bajki przed snem.

Oczywiście rzeczy niekoniecznie potrzebne były tylko pretekstem, poetyckim pozorem, za którym krył się po prostu sklep z pamiątkami. W różnej cenie i o różnym stopniu estetycznego wyrafinowania. Prezenty dla każdego i na każdą kieszeń. Nawet najdrobniejszy upominek pakowała w celofan o kolorze starego złota i przewiązywała złotą wstążeczką.

— Opakowanie jest ważniejsze niż sam prezent — mawiała.

Ruch był duży, tym bardziej że wpadali tu czasem ludzie, żeby po prostu obejrzeć obrazy, stare meble i dziwne przedmioty. A także porozmawiać, poczytać wiersze czy fragmenty książek umieszczone w ramkach.

Była sam na sam ze swoją kolekcją w galerii „Kredens”, gdy przysła córka i powiedziała to, co uparcie wracało ostatnio w ich rozmowach.

— Chcę poznać mojego ojca.

Ubierała się na czarno już drugi rok, od kiedy wkroczyła w okres młodzieńczego buntu. Spóźniony o kilka lat. Jeszcze w szkole średniej i na pierwszych latach studiów była normalną, nieco roztrzepaną nastolatką. Marta miała już nadzieję, że ich dom ominie huragan zmiennych humorów, fochów, pretensji

i grymasów. Hydra konfliktów odrastających natychmiast po rozwiązaniu jak smocze łby.

— Co się z tobą stało? — spytała córkę podczas jednej z awantur.

— Nie chcę być taka jak ty — warknęła.

— To znaczy jaka?

— Uległa i nudna.

Kiedy się złościła, ciemniały jej przyszcze na twarzy. Wydawało się też, że włosy stężałe od lakieru stroszyły się jeszcze prężniej, a czerwone pasma w czarnej mierzwie poruszały się niespokojnie. Jakby koń strzygł uszami. Kolczyk w nosie pulsował i na przemian matowiał lub lśnił srebrzyście. Gniew porażał niektóre słowa, które zaczynały jękliwie kuleć.

— Nie wiem, gdzie on jest. — Zwilżyła pełne wargi i na próżno próbowała zapanować nad bezwiednym uśmiechem.

— Nie wiesz, czy tylko tak mó-mówisz? — zaczęła się jąkać Julka.

Stały naprzeciw siebie — dwie kobiety: jedna wciąż jeszcze, druga już pociągająca. Przedzierał je stary stół od pana Janka zastawiony porcelaną. Marta przestraszyła się, że złość córki może zmieść z blatu kruche filiżanki, cukiernice, dzbanki i talerze.

— Nie ma go w Polsce, to pewne. I tyle wiem, że wyjechał do Australii. Ale nigdy stamtąd nie napisał — powiedziała spokojnie, choć irytował ją zaczepny ton córki.

— Mu-musi być jakiś sposób, żeby się do-dowiedzieć! — wysyczała Julka.

— Opanuj się. I nie sil na jadowitą złośliwość. Myślisz, że jeśli go odnajdziesz, zmieni to coś w twoim życiu?

— Na-nawet jeśli nie zmieni, to chyba mam pra-prawo go poznać.

- Czasem lepiej jest nie znać ojca.
- Ale ojca ma się jednego.
- Ja miałam dwóch i dwukrotnie więcej zmartwień.
- A ja uważam za swój obowiązek go odszukać. Nawet gdyby miało się to wiązać z kłopotami.
- Jestem przekonana, że wynikną — powiedziała, a w myśli zadała sobie pytanie, skąd ma tę pewność. — Nie powinnaś się narzucać. Gdyby mu na tobie zależało, już dawno by nas odszukał. Wiedział, że spodziewam się dziecka.

* * *

NOCĄ OSWAJALI SIĘ z tajemnicą nieznanego kontynentu. Gwiazdy zawieszono w granatowych kotarach nieba świeciły intensywniej niż w Polsce i wydawało się, że są tu bliżej człowieka. Naturalnie dostępne, prawie osiągalne, jakby kosmos przyjaźnie wychodził ludziom naprzeciw. Nawet wzywał do poufałości. Nawoływał szelmowskim mruganiem, by zanurzyć się w jego nieskończoną złożoność. Zapraszał do zrozumienia niepojętego.

Ostrożnie zbadali miejsce na kemping. Kabiny z toaletami i prysznicem wystawiono poza miasteczkiem na terenie z grubszą tylko oczyszczonym z zarośli. Stał w ich pobliżu samochód z przyczepą wypełnioną światłem. Postanowili rozbić obóz na łączce za drogą, na której zastygły twarde jak beton koleiny. Wysoki eukaliptus i krzewy wokół niego obiecywały intymność, a trawa przyjazną gąbczastość. Szybko się jednak okazało, że krzaki mają kolce, a między zielenią trawy prześwitywała chropowata, popękana ziemia. Nie wiadomo skąd wylażyły miniaturowe rzepy, wczepiając się w ubranie i ciało. Zamiast zgłębiać bezkres gwiazdnych konstelacji i ich obiecującą bliskość, proza-